

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 27 GRUDNIA 1930 ROKU

NR. 52

ANDRZEJ STRUG

45)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Ku wielkiemu jej zdziwieniu generał zasnął. Nie wygodnie skulony w fotelu, ze zwisającymi ramionami, z głową bezwładnie opadniętą na piersi, pochrapywał żałośnie i śmiesznie, jak gdyby skarżąc się przed litościwą zjawą senną na swój smutny los. Ubawiło to Evę. Ten człowiek był tak nieszczęsny i bezbronny, że żal było pastwić się nad nim dłużej. Zresztą jest chyba dostatecznie przygotowany do odegrania wyznaczonej roli.

Wstała, cichymi krokami przeszła do sypialni. Szybko zrzuciła suknię i przywdziała fioletowe kimono, zahaftowane w złote kłosa. Stała przed lustrem, rozluźniła włosy, zmrużonymi oczami uśmiechnęła się i przybrała wyraz dobroci. Stała przez chwilę, przypatrując się sobie.

Własna uroda była dla niej źródłem nigdy nie nasyconej rozkoszy. Gdy urabiała grę twarzy dla jakiejś roli, pograżała się w ekstazie zachwyty, widząc szybko zmienne swoje przeobrażenia. Chwytała najsubtelniejsze drgania rysów i uczyła się ich pracowicie, by w razie potrzeby wywołać je nieomylnie. Przygotowywała je dla wielkich, niebezpiecznych zbliżeń ekranowych, gdzie tak oczywiście zdradza się każda sztuczność i komedjanckie kłamstwo. W tym kunszcie była niedoścignioną i za to uwielbiał ją cały świat. Z oblicza Evy Evard biła zawsze wyrazista głębia prawdy i jej artystyczny umiar. Smutek Evy, jej rozpacz, łzy, wesołość, radość, przewrotność, rozpisanie, spokój, zaduma, złość i dobroć i niezliczone odmiany uczucia i myśli zarówno tchnęły nieprzepartą i jedyną prawdą życia. Przy niej gasła każda gwiazda ekranu i zdradzała się sztucznością, przesadą. Nie nadarmo wyrzekali reżyserzy i krytycy. — Eva Evard ma jedną jedyną, ale wielką wadę — niepodobna znaleźć dla niej godnego zespołu, Eva nie miała nigdy i dotąd nie ma partnera ani partnerki.

To też przedziwny wyraz współczucia i dobroci, z którym pochyliła się nad uspiętym generałem, zwiódłby każdego.

— Mój ty biedaku... Zmęczyłam cię? Daruj mi, ja już jestem taką... Sama się zdręczyłam, a nie mogę się przemódz... Poczekajmy jeszcze...

Generał, ockniony z głębi swojej niedoli, nie wierzył uszom, nie wierzył oczom. Tego wyrazu anielskiej tkliwości nie zaznał nigdy, nawet w dalekich czasach szczęścia. Rozczulony niewiarogodną dobrocią i odsłonięciem na piersiach kimonem i temi splątanymi włosami, które muskały jego czoło, opasał ją ramionami i skarżył się łzawie jak dziecko. W tych skargach wyrażała się zarazem jego nieprzebrana

wdzięczność i zachwyty, i gwałtownie ośmielona nadzieja.

Eva błędziła palcami po jego głowie, po twarzy i nie zważała na natarczywość jego pocałunków. Włosy rozwiązały się do reszty i spłynęły całą falą na głowę generała, kimono spadało niemal z ramion. Głosem przyciszonym i słodkim zaczęła mu tłamać, że nie chce go dłużej dręczyć, że coprawda nie może mu na razie obiecać więcej nad to, co teraz właśnie osiągnął, ale gdy pomówią spokojnie i rozsądnie, porozumieją się.

Nadewszystko pragnie, aby wniknął w jej duszę i nie przypuszczał, że jest pospolitą dewotką, która uczyniła jakiś głupi ślub i trzyma go się ślepo, w strachu przed piekłem. Wojna wstrząsnęła nią głęboko, wojna wywołała w niej przewrót moralny. Na pozór jest sobie dawną światową osobą, rozmiłowaną w życiu towarzyskim, w zabawach, w hołdach. Ale niech wie, że co rano oblewa łzami komunikaty z placu boju, że nie może znieść dłużej tej rzezi. Głód i cierpienia narodu niemieckiego, na które patrzy, odbierają jej ochotę do życia. Bywają nieraz we dwoje lub w liczniejszym towarzystwie na kolacjach w złotym gabinecie w Kophamel-Diehle, gdzie nieoficjalnie i poufnie można zaznać wszystkich rozkoszy kulinarnych, jak za najlepszych starych czasów. Czy widział, żeby choć raz przełknęła bodaj kęs? Na nic się zdały namowy, najwyżej wypije szklankę wody mineralnej z winem. Mówią, że jest pedantką higieny, żeby jaknajdłużej zachować urodę. Gdzie tam... Znosi męczarnie, widząc stół zastawiony i biesiadników, łapczywie pożerających bażanty, majonezy i inne frykasy, tak rzadkie w tych czasach. Nie skusi się, gdyż nie może pozwalać sobie na zbytki, kiedy dokoła panuje głód. Jada tylko raz na dzień i to bardzo ubogo — czyż to jest ślub? Nie, to jej serce nie może się pogodzić z klęską wojny i wymaga od niej pokuty, choć nie zawiniła w niczem. Niechże on to w niej zrozumie i uszanuje, a wówczas nie będzie uważać za szyderstwo tego, co mu wyznała o zamiarze przyspieszenia końca wojny.

Zresztą, zamiar — to zbyt konkretne słowo. Jest to w niej raczej zachceniem, namiętą żądzą, wreszcie ambicją, aby i ona przyczyniła się bodaj w czemkolwiek do dzieła pokoju, chociażby w minimalnej części, nie dając się ująć ani obliczyć. Gotowa jest na najcięższe prace, na wszelkie niebezpieczeństwa i jeżeli by ktoś dowiódł, że jej śmierć przyspieszy zawieszenie broni o jedną godzinę, nie zawahałaby się za tę godzinę oddać swego młodego bujnego życia... Ta żądza opanowała ją przed półro-

kiem, ona to kazała jej opuścić Francję i szukać po świecie ratunku przed wojną. I jeżeli gdzie, to w Niemczech spodziewała się znaleźć pole do czynu, to też przybyła tutaj. Dlaczego?

Dla narodu niemieckiego jaknajrychlejsze zakończenie wojny jest sprawą życia i śmierci, albowiem cała potęga czasu pracuje teraz dla koalicji. Tam mogą czekać i każdy upływający dzień wzmagają ich szanse, tymczasem gdy u nas... Dawno utraciła ostatni cień swych sympatji dla koalicji i ostatni okruczeństwo do Niemców — jest teraz idealnie neutralną. Chce pracować dla całej ludzkości, ale przez same losy tej strasznej wojny zmuszona jest widzieć sprawę ludzkości w sprawie Niemiec. Oto jej szczerze wyznanie. A teraz — oto jej plan.

General mimowiednie rozluźnił się uścisku, ogarniającego smukłą, podatnie lgnącą doń postać Ewy. Z głową, okrytą jej złotymi włosami, z twarzą wtuloną między jej rozkoszne piersi, słuchał, chwytając każde słowo o tych sprawach bezprzykładnych, zawrotnych nowych, nieprawdopodobnych, genialnie prostych.

— Mój stary, nie pisałem od sześciu tygodni, bo spróbuj no ty wykomponować list w zawianej śniegiem kamiennej dziurze, na wysokości tysiąca ośmiuset metrów nad poziomem Twego Hannoveru. Tu mnie licho zagnało z bataljonem. Wyprawili nas na łeb na szyję ratować sojuszników, gdyż ci już puszczali moskala przez wszystkie przełęcz Karpaczkę. Człek się wciąż uczy na wojnie — nie przypuszczałem, że walka może się toczyć w takich zakazanych miejscach, tymczasem front, okopy, druty i wszystko, co za tem idzie, ciągnie się het przez grzbieity, przełęcz, szczeliny i szczyty górskie jak na równinie. Wisimy tu pod niebem i w pogodę rozpościera się przed nami nieogarniony obszar świata. Czarowne góry... Choć siedzę tu od miesiąca, co rano, gdy tylko wyjrzę na świat, ogarnia mnie zdumienie, że nie wychodzę, jak być powinno, ze schroniska narciarskiego w Dolomitach na cały dzień rozkosznego biegu, ale idę na głupią zbiórkę poranną, słuchać andronów pana feldwebela lub jeszcze gorszych od samego pana kapitana. Zaniósł nas tu śniegiem i od dwóch tygodni wszelka walka ustała. Nieprzyjaciel siedzi na północnym cyplu na szczycie jakiegoś Smotrycza o cztery kilometry w linii powietrznej i dla przyzwoitości odzywa się co parę dni, żeby nas poinformować, że jeszcze żyje. My to samo z naszego Pop Iwana. Zadużo mam czasu do myślenia, to też myślę, choć to do niczego niepotrzebne. Przemyślałem już wszystko i czas, żebym i ja zbydłciał jako prawdziwy dobry żołnierz Jego Cesarskiej Mości. Nie mogę! Odzywa się jeszcze wciąż głupi bezpłodny bunt przeciwko obłędowi świata. Nie widzi się tu krwi, rzezi i innych okropności, niema nawet na razie żadnego niebezpieczeństwa i dlatego może, gdy nerwy są spokojniejsze, widzi się tak przenikliwie absurd wojny. W ósmym miesiącu wojowania jeszcze się z tem nie pogodziłem. Jakże ja przetrwam do końca? Tego końca wcale nie czuję, choć buduję wielkie plany i programy na — potem. Ach ty, drogi, stary pajęczarzu... Powiem ci, że świat przewracam do góry nogami! Żyję w zakonniczem milczeniu, bo tu niema do kogo gęby otworzyć, ale kiedy za pierwszym urlopem wpadnę do ciebie, wygłoszę przed

Tobą tak płomienne (i mądre!) exposé, że sam przyznasz, jak ogromnie przybyło mi nauki i doświadczenia. Cała moja wiedza opiera się na rozpamiętywaniu tych kilku straszliwych dni z końca lipca i z początków sierpnia zeszłego roku. Tam przed ludzkością rozwarła się otchłań najokropniejszej prawdy, o jakiej nikt nie miał pojęcia. Te dni zaskoczyły nas. Prastary demon historii zadrwił sobie z cesarzów, z królów, z republik, z dyplomatów, z parlamentów, ze wszystkich Panów Bogów katolickich, protestanckich i prawosławnych, ze wszystkich szczytnych słów i hasel, z kultury, z wiedzy, a nawet z tej potęgi, jaką jest w człowieku instynkt samozachowawczy, ukochanie życia i strach przed śmiercią. Nie zapominam bynajmniej, mój drogi, że wśród tej powszechnej kompromitacji świata zbankrutowała i moja ukochana międzynarodówka proletarjacka, no, ale również Twoja, nierównie szlachetniejsza — wolnomularska. Nad czem też radzą teraz bracia zakonu na zebraniach loży „Archimedes na Trzech Globach”? Możesz wzamian zapytać mnie, jak się czują o tej porze towarzysze z Partei-Vorstandu i z socjal-demokratycznej Frakcji Parlamentarnej. Odpowiem Ci, że do prawdy nie mam o tem pojęcia.

Oddawca niniejszego, podoficer Otto Jurst, jest towarzyszem, człowiekiem zupełnie pewnym, możesz przez niego pisać z zupełną swobodą. Ten przystosował się do wojny i z całą filozofją odłożył resztę na potem. Kiedym go pytał, jak się czuje, odpowiedział, że życie żołnierskie jest coprawda zupełnie psie, ale że on czuje się na wojnie lepiej, niż w swojej fabryce przy warsztacie tkackim. Żołnierz ma większą swobodę i różnorodność, ma poczucie, że przestał być niewolnikiem i maszyną, a stał się człowiekiem, który coś przecie znaczy. Czasami ma wrażenie, że jest na jakichś dziwnych wakacjach, a czasami — że spełnia jakieś najważniejsze zadanie. Pomimo straszliwej dyscypliny frontowej czuje swoją wolność bardziej, niż w czasie pokoju! Kiedym się zabardzo dziwił, odpowiedział mi po robociarsku, że inteligent tego nigdy nie zrozumie. I dodał, że gdyby nie ten wyłom w monotoni losu robotniczego, to mobilizacja wśród proletariatu nie wypadłaby tak spokojnie. Dodał też, że robotnik - żołnierz, który przetrwa wojnę, ten dopiero pokaże kapitałowi i burżuazji... Tak sobie myśli mięso armatnie, człowiek z masy. I ja tak myślę. Przesyłam Ci, drogi wuju, serdeczne pozdrowienia, a w pudełku od zapalek dość osobliwego tutejszego pajęczka ze szczytu Pop Iwana, który zimował tu sobie pod kamieniem i w skutku wojny rusza teraz w świat. Oby dojechał cało i zdrowo.

Twój Kurt.

— ...Z zachodu na wschód. Nie wiemy, dokąd nas znowu wiozą. W tych podróżach naszej dywizji wyczuwa się nerwowość naczelnego dowództwa. Łatamy jak kot z pęcherzem po mapie Europy. Dzięki temu widziałem ziemię nieprzyjacielską, zdeptaną żelazną stopą wojny. Niepojęte bezceństwa, najzupełniej niepotrzebne, nie będę ich opisywał, bo i tak nie zapomnę tego do śmierci. Jakże łatwo dziczeje człowiek, gdy się go poszczuje na wroga. — Huzia! Huzia go! Jestem przekonany, że dzieje się to świadomie, na mocy obmyślanych tajnych instrukcji. Belgów, Francuzów musi ogarnąć strach paniczny przed zdobywcą. Wszystko ma być wdeptane w najpodlejsze poniżenie. Zarazem żołnierz niemiecki zaprawia się w zezwierzęceniu, jak przystało na pachoł-

ka rasy panów. Pastwienie się nad bezbronnym daje mu zadośćuczynienie za trudy i grozę wojny. Na etapach i w pasie frontowym pozwalają na wszystko.

W Argonach było ciężko. Napadnięty na patrolu w lesie zakłutem bagnetem trzech francuzów — co miałem robić? Obroniłem się i żyję. Po co mam żyć? Żeby pracą całego życia odkupić... Idjotyczne słowa! To też gdy nas zdjęli z linji i powieźli, na jakiejś stacji za Liège, w ciemną dżdżystą noc, postanowiłem uciec, dotrzeć jakoś do granicy holenderskiej i dać sobie zwolnienie z tej męczarni. W natchnieniu ujrzałem ogromną wizję mego nowego życia. — Ameryka, apostołska walka z wojną, urabianie nowego człowieka... Wielotysięczne mityngi, podróże agitacyjne, artykuły, broszury, książki... A gdy się skończy wojna — poznają Niemcy Kurta Wagera! Kto odważył się wyłamać z czadu załganego patryjotyzmu i sam stanowić o sobie, ten się nie zawaha przemówić do mas nowym słowem, jakiego nie słyszeli jeszcze w niemieckiej ojczyźnie. Dezerter — haniebne miano... Ja mu przywrócę godność i cześć!

I cóż? Jak to bywa najczęściej z wielkimi postanowieniami — nic się nie stało. Ta noc jesienna z wichrem i szarugą, taka właśnie, kiedy to psa nie godzi się wygnać?... Wzgląd na to cudne dziecko — Ritę? Hańba na siwą profesorską głowę Wagera — ojca? Strach przed nędzą i tułactwem? Jakieś przeżytki i przesady z podświadomych zakątków mózgu? Pociąg stał długie, długie godziny na tej stacji, najbliższej od granicy. Wreszcie ruszył. Narzuciłem na głowę płaszcz i zasnąłem. I dopiero teraz wiem, dlaczego nie zostałem dezerterem.

Albowiem nie godzi się uchylać od wspólnego cierpienia temu, który zamierza przez lud zmienić ustrój świata. Trzeba, żeby przeszedł razem z masą żołnierską całą gehennę wojny, żeby się zagłębił w jej wszystkie nędze i odgadł jej najskrytsze tajemnice. Ma on wytrwać z bracią żołnierską. A żeby gdy się wypełni czas, a Kurt Wager będzie żył i stanie w obliczu mas, mógł zacząć od tych słów, które dają prawo do głosu i moc: — aż do końca byłem z wami!

— ...Rita wypisuje mi dytyramby nad swoim umiłowanym baronem, w ostatniej wyprawie zatopił

CO CZYTAĆ?

„ZYGUNT AUGUST” — „GDZIEKOLWIEK JESTEŚ” — „POCHWAŁA ŻYCIA I ŚMIERCI” — „KRZYK W CYRKU”

W spuściznie po Stanisławie Wyspiańskim pozostały rozproszone po różnych czasopismach sceny dramatyczne o Zyguncie Augustynie i Barbarze Radziwiłłównie. W sezonie zimowym 1907/8 teatr Krakowski zapowiadał wystawienie dramatu historycznego pt. „Zygmunt August”. Tragiczna, przedwczesna śmierć wytrąciła pióro z ręki poecie. Zamierzenie nie doszło do skutku. Niewykończone fragmenty pozbiierał p. Leon Płoszowski, skonfrontował je z rękopisem, opracował i wydał w 23-cią rocznicę zgonu poety p. t. „Zygmunt August”. Trzy z tych „scen dramatycznych” były grane. W roku 1908 teatr Krakowski wystawił scenę VI — Zgon Barbary Radziwiłłówny, w r. 1915 teatr Polski w Warszawie dodał do tej sceny I-szą i II-gą: „Noc w Ogrodzie Radziwiłłowskim nad Wilją” oraz „Komnaty na zamku niższym w Wilnie”.

L. Płoszowskiemu udało się powiązać dwanaście scen i fragmentów, co w sumie dało pewną kompozycyjną całość. Rozumie się, iż jest to kompozycja wydawcy, zrozumiała z punktu widzenia pietyzmu;

jaki żywi się dla słowa St. Wyspiańskiego. Powiedzmy otwarcie, że nie dodaje ona nowych wawrzynów poecie, ani nie odsłania ciekawych perspektyw artystycznych. Kilka fragmentów przemawia spiżem poezji, inne uważać należy raczej za notaty, szkice. Snobizm dopatry się wszędzie niezwykłości. Warto jest jednak zapoznać się z temi „scenami dramatycznymi i włączyć je do dzieł Stanisława Wyspiańskiego. Uwagi p. Leona Płoszowskiego informacyjnie są cenne.

Jakób Morkowicz przypomina nam cenione ongiś utwory śp. Antoniego Langego, dając piękny zbiór pt. „Gdziekolwiek jesteś”. Zepchnięty przez hałaśliwą falangę kabaretowych rymopisów w cień, wiele lat za życia uchylał się od wszelkiego kontaktu z publikacją. Pisał w ciszy gabinetu swoje mądre rozmyślenia, błędził po dalekich morzach kultur egzotycznych, przyswajał mowie polskiej wybitne dzieła twórczości cudzoziemskiej. Zbiór poezji, zatytułowany „Gdziekolwiek jesteś”, daje okazję do przypomnienia cichej, skupionej sztuki tego pieśniarza i myśliciela.

„Pochwała życia i śmierci” p. Kazimierzy Alberti przynosi nowe tony w jej twórczości. Przedewszystkiem mniej znajdujemy utworów, pisanych dla wywołania

cztery okręty handlowe i jeden torpedowiec. Dostał za to żelazny krzyż, urlop na miesiąc i fotografię cesarza z własnoręcznym podpisem. Co ja jej na to mam odpowiedzieć? Ja, który nienawidzę i nie uznaję wojny? Przyznasz wuju, że nader głupie jest moje położenie wyrodka w rodzinie i w ojczyźnie. Jakoś to śmiesznie i niezaszczytnie strzelać, ciskać granatami, a jednocześnie nie uznawać wojny. Ciekawym, czy dużo jest takich opętanych jak ja na wszystkich frontach i we wszystkich armjach walczących? Chwilami wydaje mi się, że jestem sam jeden jedyny na bożym świecie, jako wyjątkowy okaz specyficznego obłędu. Jeżeli przypuścić, że jestem unikatem, więc oczywiście mylę się, a świat ma słuszość. Myślisz, wuju, że żartuję? Bynajmniej, nieraz i to zupełnie poważnie roztrząsam ten problem, ale bądź pewien, że się nie zmienię, choćbym sam sobie dowiódł, że jestem w fatalnym błędzie. Brnę z dnia na dzień, ale już jestem zmęczony, śmiertelnie zmęczony. Urlopu, który mi się należy, odmówiłem. Nie wyobrażam sobie, co jabym robił w domu, a pojechać prosto do Ciebie nie wypada, po co obrażać mojego starego i Ritę? Zresztą boję się zażyć kulturalnego życia, boję się gazet, polityki, boję się spotkać towarzyszy partyjnych, boję się potrosze wszystkiego, co zastanę w ojczyźnie. Boję się i tego, że nie zdołam już zmusić się do powrotu na front. Nie chcę się wytrącić z nawyku, z nabytego treningu psychicznego. Do wszystkich djabłów... niech już będzie, jak jest...

Profesor Wager szperał bezładnie w kartkach, szczelnie zapisanych ołówkiem, chwycił i czytał przez chwilę na wrywki jakiś ustęp z jakiegoś listu, nie patrząc na datę. Ręce mu się trzęsły, wciąż ocierał łzy, które przeszkadzały mu czytać. Spieszył się, jak gdyby szukając czegoś pilnie i przewracał w kupce papierków.

Nagle utknął — zamyslił się. Szybko zgarnął kartki do szuflady, zatrzaskał ją i zamknął na klucz. Coś pomrukiwał. Coś przed sobą udawał. Zerwał się od biurka, jakby chciał od czegoś uciekać. Stał pośrodku gabinetu i z trudem coś sobie przypominał.

K O N I E C

wrażenia niepowszedniości. Polska przyroda, jej krajobraz spokojny, soczysty zielenią, przesycony swoistym powietrzem, mówi do nas o wiecznej krasie, odzwierciedlonej w słowie prostem, przepojonym uczuciem. Na tom ten złożyły się cykle „w małym miasteczku”, „starsze panny”, „szumiąca wiola”, „Harenda po śmierci Jana Kasprowicza”, „Pochwała śmierci”. Miło jest wstuchać się w refleksję poetki:

„A jeśli kwitnąć mam, to tylko jak
[stokrocie,
w białych rżesach promieni i w ośrodku
[złocie.
A jeśli płynąć mam, to jak szeroka rzeka
w mądre morze wieczności, które na mnie
[czeka”.

Młody poeta p. Aleksander Janta-Półczyński pragnąłby zainteresować szersze koła miłośników literatury wiązką utworów pt. „Krzyk w cyrku”. Wiersze te należą do programowych: znajdujemy asonanse co do formy, pacylizm co do treści, migawki z kroniki wydarzeń, jako ultramodern wizje artystyczne. Manifestacyjność tego rodzaju utworów znana jest u nas oddawna. Wiersze p. Aleksandra Janty-Półczyńskiego sprawią specjalną przyjemność naszej młodzieży literackiej.

E. C.

Serce jej biło coraz prędeziej i brakło oddechu, a chwilami chwytaly ją mdłości i zawroty. Modliła się o zwycięstwo dla męża, nazywając go w myśli najśłodszymi imionami z macierzyńską niemal czułością. Oczekiwała czegoś niezwykłego, co spowoduje przerwanie lotów i odłożenie konkursu. Układała się z losem, czyniąc rozliczne obietnice i koncesje wzajemian za życie ukochanego człowieka. Prosiła o najsrozsze kary dla siebie za niepopelnione grzechy, byle go uratować. Chciała go bronić, chciała nie dopuścić do czegoś straszliwego, co zdawało jej się chwilami nieuniknionem.

Czemuż go namawiała, czemu podtrzymywała go w chwili zwątpienia, czemu nie dopomogła mu raczej do wyrzeczenia się dalszych tryumfów u szczytu sławy? Dlaczego popchnęła go nad skraj przepaści i wprowadziła na niebezpieczną ścieżkę ryzyka wówczas, kiedy chciał się cofnąć?

Czarny głośnik megafonu zachrypiał i niski gwizd syreny zagłuszył oklaski.

— Pologne! Hallo, hallo — Pologne! Avion „Sanders X” piloté par le commandant Swoszowski...

Niewiadomo skąd wyrwał się w powietrze, przełamał łuk loopingu do immelmana i, jak rozjuszony byk, runął w arenę nieba.

Szedł w górę. Jakgdyby wspinał się po prostopadłych promieniach słońca, jakgdyby ciągnęła go tam grawitacyjna siła rozpalonej słonecznej kuli. Kąt i szybkość wznoszenia się były niewiarogodnie duże.

Na miejscach rzeczoznawców technicznych powstał lekki szmer uznania. Tam, gdzie siedzieli przedstawiciele Polski, panowała cisza, pełna wzruszenia i napięcia.

Gdzieś, pod białą tarką obłoczków grał sześćsetkonny silnik.

Wtem umilkł. Spojrzenia przyległy do małej ciemnej sylwetki samolotu.

Tkwiał nieruchomo, rzekłbyś, w górze, aż wreszcie ślizgnął się wtył na ogon i, zwichnąwszy nagle równowagę, poszedł w korkociąg.

Trzy, cztery, pięć, dziesięć zwitek...

Zahamowało go w skrętach. Szedł w dół pionowo, nie wyprowadzany do linii lotu. Gnał ku ziemi, spadał, jak kamień z wysoka.

W ciszy oczekiwania narodził się szum, syk, gwizd, wycie. Rosło, potężniało... Na czterystu metrach piekielny wrzask pędu darł uszy, stawał się nieznośny.

Wtedy ryknął silnik.

Zdawało się, że huk porozsadza czaszki. Jakgdyby nie sześćset koni gnało na spotkanie ziemi, a sześć tysięcy!

— Urwie skrzydła — powiedział ktoś za panią Wandą.

Nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia tych słów. Ale była pewna, że za chwilę stanie się coś okropnego. Nie miała sił wstać, ani krzyknąć. Siedziała napół martwa i mimowoli obiema dłońmi zasłoniła uszy.

Wtem stał się cud: ścichł silnik i maszyna, ryjąc głęboko brzuchem powietrze, przysła w górę. Prze-

rzuciła się na plecy, popłynęła nad zbity tłum i znów zagrała gardłową pieśń silnika.

Swoszowski miękko, odniechcenią kładł ją w wiraże, wisząc głową wdół na pasach. Potem zaczął przerabiać akrobację.

Nisko, coraz niżej...

Ze stu metrów w dwóch zwojach korkociągu zeszedł nad samą ziemię, odwrócił maszynę i wspaniale zawiązał zwolnioną beczkę.

Dopiero wtedy tłum odetchnął. Sypnęły się brawa, zażrmiały, załomotały, rozszalały się w długo niemilkający huragan oklasków.

Pilot, jakby je usłyszał, ożywił się znowu. Chciał pokazać, jak zwrotną maszynę prowadzi. Zrywał ją do krótkich jak myśl renversów, walił się w ostrych poślizgach na skrzydło i wyciągał głębokie wiraże, muskając niemal skrzydłem trawę lotniska. Gnał prosto wzdłuż tłumy, na wysokości kilkunastu metrów przerzucał stery do zwrotu wtył i już zniknął z przed zdumionych oczu patrzących, kiedy w tłum wpadał wicher od rozpędzonego, gwałtownie skręcającego samolotu.

Nagle wymknął się w górę. Widać było jak krzyżuje stery i oddaje wprzód knypel, jak potem całą mocą silnika maszyna wkręca się w niebo pionowym gwintem korkociągu, jak waha się chwilę, tracąc pęd na trzystu metrach, zwala się przez prawe, przez lewe skrzydło, niby spadający liść klonu, opuszcza się płasko i wreszcie — siada lekko ze stojącym śmigłem nawprost tarasu.

Tłum krzyczy. Krzyczy coraz głośniejsze, przekraczając nazwisko Swoszowskiego w niemożliwy sposób. Krzyczą oficerowie, lotnicy, przedstawiciele prasy i rządu. Polacy uśmiechają się z dumą. Tylko pani Wanda cichutko płacze i ociera łzy chusteczką. Siły opuściły ją zupełnie, nie bardzo wie, co się dzieje dokoła.

— Ależ lata ten wasz wściekły major — mówi do jednego z Polaków sam szef jugosłowiańskiego lotnictwa. — Czy macie więcej takich?

Na szczęście, pani Wanda nie słyszy twierdzącej odpowiedzi polskiego dziennikarza, zarzuciłaby mu kłamstwo w oczy.

Fala tłumy porywa ją i niesie. Nie wiadomo jak i kiedy spotyka się z mężem.

Siadają do samochodu. Swoszowski jest podniecony, szczęśliwy, dumny. Z uśmiechem patrzy na żonę, kłaniając się na wszystkie strony. Tłum odprowadza ich, sypią się kwiaty, brawa, okrzyki.

— Taka jestem szczęśliwa — mówi pani Wanda. — Widzisz, mały, miałam rację, że to był tylko chwilowy twój zły nastrój...

— Co? Ach, tak, naturalnie — odpowiada Swoszowski z roztargnieniem. — Jedziemy do hotelu: muszę się zaraz przebrać.

Pani Wanda uśmiecha się. Tym razem — z odrobiną gorzkości.

